

Okupacja i dorastanie

W późniejszym okresie okupacji chętniej chodziłem do gajówki Krzywe gdzie działo się dużo ciekawych rzeczy. Atrakcją dla mnie było to, że w gajówce lub jej pobliżu stale był ktoś z partyzantów. Zobaczyłem tam, a nieraz i poznałem, wielu dowódców np. legendarnego Miskę Tatarą--rosyjskiego Tatarą, który przyjechał bryczką w dwa konie. Potężnej postury słynął nie tylko z odwagi, ale i wielkiej siły. Proszono go o zademonstrowanie swojej siły. Wziął wtedy w jedną rękę niemiecki karabin maszynowy MG 42, przycisnął do ramienia i zaczął strzelać Trzeba powiedzieć, że normalny mężczyzna mógł ten karabin utrzymać w dwu rękach, ale do strzelania musiał go na czymś oprzeć.

Znaczna część partyzanckich dowódców byli to absolwenci Szczebrzeskiego Seminarium Nauczycielskiego, którzy po maturze szli na rok do podchorążówki, i kończyli ją w stopniu oficerskim. Zнали mnie niektórzy z nich jako syna swojego kolegi z Seminarium. Najczęściej przebywał w gajówce Krzywe ppor. Stefan Poździk pseudonim „Wrzos”, którego pluton miał bunkier w odległej o jeden kilometr „Mokrej Debrze”.

Niemcy walczący o „przestrzeń życiową” chcieli utworzyć „wał niemiecki”, jako wschodnią granicę „tysiącletniej Rzeszy”. Zadanie utworzenia „wału” powierzono Himmlerowi, który na początek jego tworzenie wybrał Zamojszczyznę. Najpierw przemianowano Zamość, przepiękne miasto wpisane dziś na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO, na Himmlerstad. Następnie przystąpiono do wcielania w życie barbarzyńskiego planu. Do Zamościa przywożono rodziny folksdojczów szczególnie z Besarabii. Gdy zgromadziła ich się dostateczna ilość otaczano w nocy, przy pomocy własowców, żandarmerii i oddziałów policji, kilka wsi polskich i wywożono z nich ludność do obozu przejściowego w Zamościu. W miejsce wywiezionych Polaków natychmiast przywożono rodziny oczekujących folksdojczów tak, aby pozostawiony w zabudowaniach inwentarz żywy nie ucierpiał.

W Skierbieszowie, wsi koło Zamościa, w jednej z tak zasiedlonych rodzin urodził się 22.2.1943 roku Horst Kohler późniejszy prezydent zjednoczonych Niemiec. Miał zresztą Skierbieszów szczęście do prezydentów--od 1885 r. należał do rodziców prezydenta Polski Ignacego Mościckiego.

Wywiezioną do obozu przejściowego w Zamościu, później także do drugiego obozu w Zwierzyńcu, ludność polską „segregowano”. Małe dzieci przeważnie uśmiercano, trochę starsze o wyglądzie „aryjskim” po odebraniu rodzicom wywożono w celach germanizacji do Niemiec. Zdolnych do pracy wywożono do pracy w Niemczech, a całą resztę do gazu na Majdanek. W ten sposób ucierpiało około 110.000 ludzi. Wywiezieni do Niemiec przeżyli, także nieliczni wywiezieni na Majdanek. Nieznaczną ilość dzieci wywożonych na ziemię wykupili po drodze Polacy. Po wojnie pewną ilość dzieci odnaleźli pracownicy PCK w ten sposób, że przy podejrzanym o polskość dziecku zaczynali wolno i wyraźnie mówić: Ojczy nasz, któryś jest w niebiosach, dzieci w większości zaczynały mówić dalszy ciąg modlitwy.

Ludność w panice zaczęła uciekać do przepastnych lasów Roztocza. A w lasach, jak i w domach były znaczne ilości broni, zostawione przez rozbrajające się tam w 1939 r. oddziały wojska polskiego. Błyskawicznie tworzyły się struktury partyzanckie. Ruszyły do walki w obronie swoich wsi. Dwie wielkie bitwy stoczone w 1942 r. pod Wojdą i Zaborecznem i niszczenie linii kolejowej

na wschód chwilowo zatrzymały, a potem spowolniły wysiedlania. Wehrmacht nie życzył sobie zamieszek w terenie, przez który przechodziły drogi zaopatrzenia dla armii na wschodzie.

Odbijano swoich z więzień w Biłgoraju i Zamościu, niszczone dokumentację w gminach dla utrudnienia Niemcom zabierania zboża i mięsa (tzw. kontyngent), zabierano także zboża i mięso zgromadzone na stacjach kolejowych, które to produkty miały być wywiezione do Niemiec, rekwirowano cukier w cukrowni i rozdawano go ludności itp.

Niestety przez 45 lat o tych walkach nie wiele pisano, gdyż walczyły tam oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Opinia publiczna wiedziała tylko trochę o gehennie dzieci Zamojszczyzny.

Zasiedlone przez folksdojczów wsie były teraz punktami zaopatrzenia dla oddziałów partyzanckich, i wszystkich mieszkających w lesie. Niemcy do lasu nawet czołgami bali się wchodzić.

Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że bierze udział w tworzeniu historii, że kiedyś będą jakieś związki kombatanckie, a może i profity. Każdy robił to, co mógł zrobić w swoim zakresie jako coś zupełnie naturalnego. Być może w miastach bawiono się w wojsko, salutowano, meldowano, rozkazywano, i trzaskano obcasami. U nas było po wiejsku, tak jak trzeba orać, siał, kosić, tak też trzeba było iść do nasiedlonych folksdojczy po zaopatrzenie, czy do wykonania innych zadań.

Odbywało się to w ten sposób, że na kolejną akcję wyznaczano odpowiednią ilość ludzi z tzw. placówek terenowych, którzy po akcji rozchodzili się do miejsc zamieszkania, i do swojej pracy. Potem, kiedy powstawały już oddziały leśne złożone z ludzi „spalonych”, którzy nie mieli już powrotu do normalnego życia, to w tych oddziałach wprowadzano wojskową dyscyplinę. Ale podstawą działania była zbiórka ludzi potrzebnych do akcji, a potem ich rozproszenie.

Ojciec mój został, jak brzmiał jego oficjalny tytuł, oficerem BIP-u, (patrz „Armia Krajowa Zamojszczyzny”) stąd miałem dużo pracy. Szczególnie w roznoszeniu prasy. Tego było mi mało, i często wdzięczyłem się do oficerów, którzy nieraz polecali mi zanieśenie żywności, a nawet jakiegoś elementu uzbrojenia po naprawie u rusznikarza. Nie brzmiało to jak rozkaz, ale zwykłe np: „skocz do kowala, i jak już naprawił zamek przynieś mi go na Mokłą Debrę”.

Gdzieś pod koniec maja 1944 r., w dzień Zielonych Świątek, oddział partyzancki niedaleko od naszego domu odbił więźniów prowadzonych przez żandarmów ze stacji kolejowej do Szczebrzeszyna. Dowodzący akcją „Kosa”-- Jan Czuk polecił mi biec do ostatniego ubezpieczenia znajdującego się aż na „wygonie” (droga do lasu w połowie Brodów) z wiadomością, że tamtędy będzie się wycofywał cały oddział, i że należy sterroryzować miejscowych folksdojczów, aby nie przeszkodzili w tym wycofywaniu.

Ponieważ w takich wypadkach Niemcy zawsze mścili się na okolicznych mieszkańcach ojciec zaprzął konie, z mamą i dziećmi (najmłodsza Irenka miała 4 miesiące) pojechał przez Brody Małe i tzw. Kępę (młyn na Wieprzu za Brodami Małymi--współwłasność Łysaka) do swojej kuzynki Anieli Rogowskiej, nauczycielki w Błoniu.

Po przebiegnięciu ponad kilometra do wygonu, i kilometra z powrotem na Szlakówkę zobaczyłem, że od strony Szczebrzeszyna posuwa się tyraliera Niemców i Własowców (jednostka utworzona przez generała Własowa z jeńców

radzieckich. W Szczepieszynie stacjonował oddział złożony z Azerbejdżanów--nazywaliśmy ich Kałmukami) gęsto strzelając. Po zorientowaniu się, że na Szlakówce nikogo już nie ma, a Niemcy strzelając podchodzą prawie pod nasz sad, skoczyłem do dosyć głębokiego w tym miejscu rowu przy drodze, i w pół zgięty dobiegłem do odległego o 150 metrów domu Michała Dawida. Michał zobaczył mnie, i zaciągnął na strych do zrobionej przez siebie kryjówki. Po kilkunastu minutach, kiedy strzelanina trochę się uspokoiła, zacząłem bać się, że teraz mogą podpalać zabudowania. Zostawiłem Michała samego, wyskoczyłem oknem do ogrodu, a potem już dość wyrosniętym żytem od jednego do drugie pola dotarłem do Brodzkiej Góry. Tam już poczułem się bezpieczny. Wieczorem, kiedy wszystko się uspokoiło dotarłem do Szlakówki, a potem do mamy do Błonia.

Potem przyszła generalna rozprawa z kilkutyśięcznymi, skoncentrowanymi do akcji „Burza”, oddziałami Zamojskiego Inspektoratu AK, teraz przeformowanymi w 9 pułk piechoty. To już nie były oddziały własowców, policji i żandarmerii, ale trzy dywizje niemieckich wojsk frontowych, z artylerią, bronią pancerną i lotnictwem, razem około 30.000 żołnierzy, z zadaniem oczyszczenia zaplecza zbliżającego się frontu. Była to jedna z największych bitew partyzanckich w Polsce, trwała siedem dni. Pozostał po niej cmentarz w lesie koło leśnej wsi Osuchy, gdzie jeszcze dzisiaj, po zabranii przez część rodzin prochów swoich bliskich, nadal spoczywa kilkuset żołnierzy 9 pułku piechoty. Przez wiele lat o bitwie tej było głucho, za to rozpisywano się o kilkogodzinnej bitwie w Lasach Lipskich i Janowskich, gdzie idące do ataku na nasz 9 pułk AK wojska niemieckie napotkały po drodze partyzancki oddział radziecki, i znajdujący się przy nim kilkudziesięciu osobowy oddział AL.

Front zbliżał się nieubłaganie. Niemcy wycofywali się. Żandarmeria i wszyscy folksdojczy wyjechali ze Szczepieszyna. Szły teraz frontowe wojska niemieckie. Młodzi chłopcy z zawiniętymi rękawami u marynarek, zakurzeni, zmęczeni marszem w upale. Był gorący lipiec. Wyjechaliśmy znowu na Krzywe sądząc, że tam jak zawsze będzie bezpiecznie i spokój. Tymczasem nieoczekiwanie Niemcy szli w dużych ilościach z Kosobud do Szczepieszyna lasami koło gajówki Krzywe. Któraś z maszerujących grup zawołała mnie, wpakowano mi na plecy pojemniki z nabojami i kazano iść z sobą w charakterze tragarza. Tuż po wyjściu z lasu trafiła się im jakaś furmanka, na którą załadowano amunicję, a mnie zwolniono.

W szeregi Niemców wkładał się chaos. Dostali się w kocioł, z które jedyne wyjście było przez Zwierzyniec. Tam toczyły się zacięte walki, i prawie cały Zwierzyniec został spalony. W międzyczasie niszczone tory kolejowe. Wyglądało to w ten sposób, że torem szła drużyna saperów, i co kilkanaście metrów przymocowywała do szyny kilka lasek dynamitu. Przed nią jechała lokomotywa z wagonem z materiałami wybuchowymi. Po założeniu dynamitu saper podpalał lont, a sam szedł dalej, i zakładał następny ładunek. Kilkadziesiąt metrów za nim wybuchał założony wcześniej ładunek. Zburzono również, wybudowany tuż przed wojną, nowy jednopiętrowy budynek stacji kolejowej.

Na Krzywym chciał się poddać Rosjanom żołnierz niemiecki nazwiskiem Franciszek Musiał ze Śląska opolskiego. Mówił dobrze po polsku. Wybili mu to nasi z głowy, przebrali w cywilne ubranie, i pojechał z nami na Brody. Później dostał zaświadczenie z gminy, że całą okupację spędził w Gminie Zwierzyniec gdzie pracował na roli. Nie chciał długo u nas przebywać, i ruszył za frontem.

Śląsk został oswobodzony dopiero w 1945 r. Nigdy nie dowiedzieliśmy się o dalszych losach Musiała.

Pewnego dnia ucichły odgłosy walki w Zwierzyńcu i wróciliśmy do domu.

26 lipca 1944 r. przyszło wyzwolenie spod okupacji niemieckiej w postaci dwu zaspanych rosyjskich żołnierzy, którzy, jak się okazało, spędzili noc na stryszku naszej obszernej piwnicy. A potem był niezapomniany wybuch radość, kiedy do Szczepieszyna wchodziły nasze ocalałe oddziały partyzanckie. I nowe władze wyznaczone przez delegaturę rządu londyńskiego.

W kilka godzin później weszły pierwsze oddziały radzieckie. Potem zjawiało się ich coraz więcej i więcej, jakoś tak chaotycznie bez zwartych formacji. Niektórzy kręcili się w kółko po kilka dni bez wyraźnej linii frontu, bez zaopatrzenia. Ogromny kontrast z uchodzącymi Niemcami, którzy do ostatniej chwili operowali całymi formacjami włącznie z kuchniami polowymi.

A tu każdy zamiast plecaka i chlebaka miał z zapasami „mieszok”, taki sprytnie wiązany worek, coś w rodzaju worka marynarskiego. I okrągły, z płaskim dnem i drucianym pałąkiem, aluminiowy kociołek, o pojemności około półtora litra. Wkładał do niego, co wyfasował, np. kaszę ze skwarkami w torebce, którą zalewał wodą i gotował, lub „świńską tuszonkę” (amerykańska konserwa), do której trzeba było „organizować” kartofle. Jeśli nic nie wyfasował to wykopał coś w polu lub ogrodzie, gotował, i wcale nie śpieszył się do wojowania. Naocznie można było sprawdzić starą prawdę, że żołnierz inaczej niż w kinie czy książkach, myśli głównie o trzech rzeczach: co będzie dzisiaj jadł, gdzie będzie dzisiaj spał, i co zrobić żeby nie dać się zabić. Wysokiej klasy specjalistami byli w tym Rosjanie. Ponieważ jednak Niemcy walczyli techniką a Rosjanie masą, to Niemców na froncie wschodnim zginęło (lub dostało się do niewoli) około 1.300.000 ludzi. W Rosji nikt nie prowadził takiej ewidencji, ale są przybliżone obliczenia, że zginęło około 9.000.000 żołnierzy w tym około 3.500.000 umarło z głodu w niewoli niemieckiej.



Ze zbiorów dr Andrzeja Józwiakowskiego

W ostatniej chwili Niemcy wysadzili most na Wieprzu. Widok bezlistnych drzew świadczy, że jest to wiosna lub jesień. Stąd wysoki poziom wody w Wieprzu—dzisiaj już niespotykany.

Komendantura radziecka wezwała wszystkich mężczyzn do budowy prowizorycznego mostu. A pamiętam, jak chyba w 1938 r., w asyście kompanii Wojska Polskiego w hełmach i z prezentuj broń, otwierano świeżo zbudowany żelazny most. Dzisiaj już się takich mostów nie buduje. Miał po obu bokach kratownice wysokie na ponad dwa metry, z obydwu końców zniżające się do ziemi.

Zaczęły się aresztowania czołowych członków konspiracji. Ze znajomych m.in. gajowy Kawka z gajówki Krzywe znalazł się na krótko na Sybirze. Dlaczego on--szczegółów nie pamiętam. Wywieziono Eligiusza Drożdżyka właściciela młyna stojącego przy drodze do Błonia, a także kilku innych.

Część jednak z poszukiwanych ukrywała się. W naszej okolicy m.in. ppor. Zygmunt Obszański pseudonim „Doniec”, szef mobilizacyjny Obwodu Zamojskiego AK. Kolega ojca z seminarium. Wpadał do nas czasami w biały dzień, aby coś zjeść. Wywoływał popłoch, bo przecież mieszkaliśmy przy głównej drodze, po której uganiało się UB w poszukiwaniu takich jak on, chodziło wielu ludzi, którzy mogli go rozpoznać, i dać znać gdzie trzeba. Wychodziłem na dwór, i pod pretekstem zabawy pilnie obserwowałem, co się dookoła dzieje. Nic by zresztą ani jemu ani nam nie pomogło moje ostrzeżenie, bo wokół Szlakówki nie było zwartej zabudowy, i trudno było by mu uciec.

Raz go jednak dopadli koło szkoły. Uratowało go to, że miał w którymś z pierwszych zabudowań Brodów Dużych świetnie pomyślaną kryjówkę z tyłu psiej budy. Zaczął udawać, że będzie uciekać ostrzeliwując się wzdłuż torów, a

w rzeczywistości po kilku strzałach ukrył się w swojej kryjówce. Do budy przywiązany był pies, i dlatego nikt nie myślał, że tam może być człowiek.

Angażował mnie „Doniec” do wykonywania dla niego różnych prac kurierskich, ale także utrzymywania łączności z ukrywającymi się na ziemiach zachodnich AK—owcami np. Aleksandrem Łysakiem ps. „Młot”, kwatermistrzowi obwodu Zamość, który zawiadywał m. In. magazynami broni. Byłem wtedy uczniem gimnazjum i drużynowym drużyny harcerskiej—moje wyjazdy nie zwracały niczyjej uwagi.

Moja działalność została później zweryfikowana przez Stanisław Książka „Wyrwę” komendanta obwodu AK Zamość, i Adama Piotrowskiego „Dolinę” d--cę batalionu w 9 pułku piechoty. Na tej podstawie uzyskałem uprawnienia kombatanckie w roku 1993.

Ukrywanie się w tych czasach było daleko trudniejsze niż podczas okupacji niemieckiej, bowiem załamała się solidarność społeczeństwa. Byli tacy, którzy współpracowali z nową władzą. W Brodach Małych było ich kilku, i ci ze strachu chodzili wieczorem spać na posterunek milicji w Szczebreszynie. Wśród nich był nasz sąsiad kulawy Kwapisz—dobry stolarz, do którego często chodziłem przed wojną przyglądać się jego pracy. Nigdy nie przejawiał jakiś poglądów politycznych, ale po wojnie został sekretarzem PPR w gminie Zwierzyniec, do której należały wtedy Brody. Skończyło się tak, że w jakiejś knajpie po pijanemu zastrzelił człowieka.

Ciągle trwały oblawy na ukrywających się, którzy zaczęli uciekać do lasu, i tworzyć nowe oddziały partyzanckie. Zaczęły się walki z NKWD, UB, Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zamojszczyzna wykrwawiała się powtórnie. Potyczki, a nawet bitwy w odwecie za aresztowania, wywożenia na Sybir i zabójstwa. Oddziały partyzanckie, które rosły o ludzi muszących uciekać z domu, napadały na posterunki Milicji i UB, likwidowały aktywistów partyjnych itp. Lała się krew obficie. Najstraszniejszy stał się oddział „Zapory”, który trwał i walczył aż do roku 1949.

Warty odnotowania był wyczyn najstraszniejszego dowódcy z czasów okupacji niemieckiej Tadeusza Kuncewicza „Podkowy”. Otóż Podkarpaciem, Śląskiem, Dolnym Śląskiem przedzierał się on z dwudziesto kilkunastu osobowym oddziałem do Niemiec. Wszyscy byli ubrani w ówczesne mundury wojska polskiego tzw. Berlingowców, i jechali samochodem Studebaker będącym na wyposażeniu tegoż wojska. Niestety w Karkonoszach pomylili drogę, i wjechali do Czech. Tam zostali zdemaskowani przez oficera czeskiego UB, i ratując się zastrzelili go, a także jego kierowcę. Po dotarciu do amerykańskiej strefy okupacyjnej zostali przekazani upominającym się o nich Czechom. Jedyny z całego oddziału „Kosa” – Czuk z Brodów Dużych uciekł, i został na zachodzie. Kilku z nich zostało zamęczonych w czeskim więzieniu, a reszta po długim czasie wróciła do domu. Życie samemu „Podkowie” uratowała znajomość i współdziałanie podczas okupacji niemieckiej z radzieckim oddziałem partyzanckim im. Kowpaka, dowodzonym przez generała Werszyhora. Odsiedział jednak „Podkowa” w Polsce dziesięć lat.